

ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok VIII.

Warszawa, dnia 7 października 1916 roku.

№ 41.

Teodor Jeske-Choiński.

W Teatrze Renesansu.

Stary Herkules d'Este (ur. 1431 roku), książę Ferrary, siedział w swoim *studio* (pracowni) przed dużym stołem, zarzuconym pergaminami. Oparłszy ładną, jak z marmuru wyciosaną, głowę o prawą rękę, wertował księgę podatkową. Przed nim stał jeden z jego dwóch „generalnych faktorów” (poborców) i czekał na rozkazy.

Brwi księcia zsunęły się nad jego orlim nosem, energią tryskające usta zwarły się. Nie był widocznie zadowolony z rachunków wydziału podatkowego.

Spostrzegł to „generalny faktor”, który nauczył się czytać w rysach oblicza swojego pana. Wiedział, że mars na czole, zsunięte brwi i zwarte usta księcia poprzedzały burzę, a z burzy sypały się gromy na głowy urzędników ferraryjskich.

— Sądziłem, że jesteś zdolniejszym do wyławiania podatków — odezwał się książę. — Zamiast pięćdziesięciu tysięcy dukatów, potrzebnych mi w tym miesiącu, zebrałeś zaledwie dwadzieścia tysięcy. Takiego niedołęstwa nie znoszę.

„Generalny faktor” złamał się w pałak i tłómaczył się drżącym głosem:

— Robię wszystko, co mogę, rozsyłałem po mieście i okolicy moich najrzęczniejszych wyźłów, każę im obwąchiwać wszystkie kieszenie i skrzynie...

— I niewiele wywachają... — przerwał mu książę szorstko. — Ośleś jesteś, głupcem. Nie dość przeglądać kieszenie i skrzynie moich poddanych. Jako jeden z generalnych faktorów, powinieneś wiedzieć,

że te łajdakaj zakopują pieniądze w ogrodach, piwnicach, a nawet na cmentarzach. Obowiązkiem twoim wynaleźć ich kryjówki, jeśli nie podstępem, to siłą. Nie znasz to tortur i lochów w podziemiach zamku?

— I tych środków próbowałem; katem, pijawką, żmiją, zbójem, zbrodniarzem mnie w mieście nazywają.

— Cóż ciebie te jędrne tytuły mogą obchodzić? — fuknął książę. — Nie moim poddanym, lecz mnie służyysz, nie o ich kieszeniach i skrzyniach powinieneś myśleć, jeno o moim skarbcu. Jeśli nie dostarczysz dworowi w przeciągu tygodnia reszty potrzebnych mi dukatów, zajmie twoje miejsce inny, zręczniejszy, gorliwszy od ciebie faktor.

Dygnitarz finansowy zbladł. Utrata posady przecięłaby mu drogę do zaszczytów i wielkiej fortuny. Nie był on tak głupim, niedołężnym, jak się księciu zdawało. Umiał i on o sobie pamiętać. Sute łapówki sypały się do jego kasy.

Kilka chwil medytował nad tem, jak wydobyć się z grożącego jego karierze położenia. Wyprostował się, podniósł głowę... Znalazł drogę do wymoszczenia skarbcu dworskiego.

— Gdyby Wasza Wysokość raczyła sprzedać wakujące urzędy, napęczniałaby nasza kasa szybko — radził. — Jest tych wolnych posad w obecnej chwili dużo. Za godność „*giudice de'savi*” (prezesa rady miejskiej) mogliśmy zgarnąć ładną sumkę. Ambitny Tito Strozzi umizga się do tego zaszczytu, a na mamonie mu nie zbywa. Ten sygnie bez targu sporą sumę.

Brwi księcia rozsunęły się, twardej wyraz zwartych ust złagodniał.

— I ja o tem myślałem — rzekł — zastanawiałem się tylko nad tem, jaką sumę z mojego kochanego Tita wyciągnąć.

— Jak najwyższą — poddał generalny faktor.

— Twoja to rzecz. Staraj się sprzedać wakujące urzędy jak najdrożej. Dyżurnemu dworzaninowi powiedz, że czekam na signora Mikołaja da Correggio. Możesz odejść...

Gdy się drzwi zamknęły za „faktorem”, pogrążył się książę w badaniu planu nowej sali teatralnej, którą kazał urządzić w siedzibie podesty, w Palazzo della Ragione. Teatr był najmilszą pociechą i zabawą jego lat sędziwych. Wszyscy Estowie lubili przepych i zabawę, wszyscy mieli szeroką rękę, siejając złotem, jak piaskiem. Na turnieje, bale, polowania, biesiady nie szczydzili pieniędzy. Gdy im mamony zabrakło, obdzierali swoich poddanych ze skóry, wyciskali z najuboższych ostatni grosz bez litości. Każdy z nich miał jakąś słabostkę. Jeden kochał się w koniach, drugi w żołnierzach, trzeci w polowaniach i biesiadach, czwarty w sztuce i literaturze i t. d., a wszyscy służyli gorliwie pani Wenus, pijąc łakomie z kielicha jej rozkoszy.

Książę Herkules wybrał sobie na starość teatr. On to rzucił w Italii fundamenty pod nowoczesny teatr, on stworzył scenę XV i XVI stulecia. W robocie tej pomagał mu jego krewniak, syn Beatryczy d'Este (z nieprawego łoża), wnuk Mikołaja III d'Este, urodziwy, wykintny Mikołaj da Correggio, rycerz, poeta, elegant, mistrz kortezyi dworskiej (ur. 1450 roku).

Na progu pracowni księcia ukazał się dyżurny dworzanin i oznajmił:

— Signor da Correggio!

— Niech wejdzie! — bąknął książę, nie odrywając oczu od planu dworskiego architekta.

— Wasza Wysokość raczyła mnie wezwać? — odezwał się signor da Correggio.

— Usiądź obok mnie, chłopcze, i przypatrz się temu planowi. Zdaje mi się, że będzie dobry.

„Chłopiec“ przeskoczył już pięćdziesiątkę, a robił wrażenie młodzieńca, wysmukły, giętki, elastyczny, bez śladu zbliżającej się starości.

Pochylił się nad planem sali teatralnej i badał go uważnie. Przypatrzywszy się mu okiem znawcy, odezwał się:

— Czterdzieści łokci wzdłuż, pięćdziesiąt w szerz, wspaniała sala... W sam raz dla mnóstwa gości, którzy przybędą na wesele don Alfonsa. Trzy tysiące widzów możemy w niej pomieścić...

— Podzielam twoje zdanie — zauważył książę. — Idzie mi o to, żeby się jaknajwiększa ilość gości mogła pomieścić w tej nowej sali. Niech Borgowie wiedzą, że szkatule Estów nie brak dukatów na uroczyste, wspaniałe wesele. Chcę, aby o tem weselu mówiła cała Italia i podziwiała gościnność i hojność naszego domu. Trzeba rozpocząć natychmiast przeróbkę pałacu della Ragione na teatr. Dekoracyami, malarzami, aktorami, śpiewakami, muzykantami zajmij się ty, Niccolo. Sprowadź mi nie tylko z Italii, ale także z Francji i Germanii najlepsze siły artystyczne.

— Stanie się według rozkazu Waszej Wysokości.

* * *

W pierwszych dniach stycznia 1502 r. huczał pałac della Ragione młotami kowalów, harczał zgrzytem pił, drżał pod stopami całego legionu rzemieślników, biegających po schodach. Kowale i ślusarze pomagali maszynistom budować maszyny teatralne, stolarze obijali zielonem sukniem krzesła i ławy, ustawione amfiteatralnie w trzynastu rzędach, krzewy szyli na gwałt kostjumy dla aktorów i aktorek, pacholkiwie dworscy czyścili zakurzone ściany i myli marmurowe posadzki.

Nad tym łoskotem młotów i młotków, nad zgrzytem pił i głośnie nawaływaniami majstrów panowały wesołe pieśni, przeplatane gwizdaniem. Uczniowie słynnych malarzów: Fina de Marsigli, Peregrina da Udine, Trula, Jana da Imola i Dossa, uprzyjemniały sobie w ten sposób pospieszną robotę. Pod kierunkiem mistrzów malowali kulisy, domy, skały, drzewa, lasy, góry, ludzi, zwierzęta,

Od obrazu do obrazu przechodził signor Niccolo da Correggio, śledził pracę artystów, chwalił ich pomysłowość, albo dawał im wskazówki. Na wszystkim znał się ten *arbitr elegantiarum*, ten waleczny rycerz i zwycięzca na turniejach. Teatr lubił tak samo, jak książę Herkules. Napisał nawet dramat mytologiczno-pastoralny p. t. „Favola di Cefalo“ i dramatyczną eklogę p. t. „Favola di Callisto“. Pierwszy wystawił we Ferrarze (1487 r.), drugą w Mantui (1501 r.).

Zlustrowawszy dekoracje sceny i sali, udał się na piętro pałacu, gdzie kompozytor, mistrz Alfons della Vi-

nola, mustrował najprzedniejszych śpiewaków teatru farraryjskiego: madonnę Dalida, słynnego w całych Włoszech Alfonsa Lanto i Jana Michele'go.

Upojony, nawskroś dworski *cavaliere*, nie szczędził pochlebstw, słuchał z przyjemnością artystycznego śpiewu.

— Śpieszcie się, słowiki, z próbami — zachęcał, odchodząc — bo nowa księżna Ferrary, uroczą Lukrecyę Borgia, zbliża się już do granic księstwa. Za kilka dni zastuka do bramy naszego miasta.

Dalszy ciąg nastąpi.

Adolf Nowaczyński.

Pięć obrazów dramatycznych.

Pałaski w Ameryce.

3

ANGELIKA: (*Ręką zagroziła, z krzykiem:*) Ni się waż bracie! Ani go tknij!... (*Chwyciła za podniesioną rękę Jacka i mocno trzymając zniża mu rękę ku ziemi*). Niegodziwczę! (*Z wyrzutem*). Jak śmiałeś zamierzać nawet coś podobnego!

DENIZA: (*Z oburzeniem:*) Tak się pastwić nad człowiekiem w kajdanach... (*Do Boba:*) I ty go puść zaraz!

JACK: (*Wrzucając pedzel w baryłkę, posepnie, z uporem:*) Kajdany ludzi nie poprawiają... Niech Siostra nie spodziewa się, że takie drapieżne zwierze w niewoli skruszało. Tylko się odwrócić odeń, a z tyłu tomahawk w kark białemu wrazi. (*Chrypliwie:*) Nie ma kogo bronić, nie...

ANGELIKA: (*Z gniewem:*) Milez! Milez i wstydz się... Musisz sam mieć duszę bardzo niewolniczą, jeżeli z niewolnika naigrywasz się, bracie!...

BOB: (*Hardo:*) Nikt się z nich nie naigrywa. Niech się nauczą pracować, to im damy spokój święty!... Ale póki nic innego nie umieją, tylko czupryny białoskórych odrzynać i z Brytanami się łączyć, będziemy ich tępić, tępić!...

JACK: (*Pół kpiąco:*) I jakoś to nawet dziwnie jest, żeby Siostry, co z Betlehem są, stawały w obronie wojowników drapieżnych, co ze zbójectwa ino żyją i z najazdów.

BOB: A tak... tak... Pewnie, że dziwnie...

ANGELIKA: Nawet drapieżnik, gdy już w niewoli jest i skuty, go-dzien litości. Nadto kto mieczem wo-

juje, ten od miecza ginie. A biada jeno takiemu, co nad bezbronnym pastwi się!...

TOMMY: (*Skończył już od chwili pracę swoją, opuścił rękawy i przypatrywał się temu, rozgłosnie, z zadowolaniem:*) Całkiem słusznie Siostro. Dobrze im tak! Trzeba natrzeć uszu tym prostakom. (*Ostro, rozkazodawczo:*) Jazda stąd!... Precz mi zaraz drapichrusty, skurczybyki, żrebce głupiaste, głąby surowe! chwasty oblaźle... Jazda iść się oporzędzić na pogrzeb, a nie tu ośmielać się w dyszkury wdawać...

(*JACK i BOB: szybko pomykają z głowami opuszczonemi ku schodkom. — INDYANIE usunęli się całkiem na bok*).

TOMMY: (*Z galanterią:*) Niech Siostry czcigodne wybaczą głupie mowy tych szczerów wodnych. Skąd to taka marnota ma wiedzieć, co są manieri światowe! Niech Siostry nawet o tem zapomną, co oni tu... Ot, lepiej dla rozrywki oglądniętyby sobie panie nieboszczyka... Miło popatrzeć, jak obszyty zgrabnie... Proszę... (*Wskazuje w prawo na stół:*) Proszę śmiało... proszę...

(*SIOSTRY: smutne, przerażone, przytulone do siebie, zbliżają się zwolna i nieśmiało. — JACK i BOB: znikają w głębi pokładu*).

GŁOS Z GÓRY Z LEWEJ: Lewa! Cztery!

TOMMY: (*Raptownie do Sióstr:*) A... przepraszam... Muszę, do obowiązku... (*Głośno, w górę, przykładając rękę do ust:*) Która?... Lewa?...

GŁOS Z GÓRY Z LEWEJ: Lewa. Cztery.

TOMMY: (*Stając przy balustradzie, krzyczy w dół:*) Lewa! Cztery... Lewa, cztery!... (*Do Sióstr:*) Zostawię Siostry chwilę z nieboszczykiem... Pójdę sam zameldować, że wreszcie ceremonia może się zacząć. (*Zbiega schodkami w dół.*)

(*SIOSTRY ANGELIKA i DENIZA z wolna zbliżają się do stołu. — SIOSTRA DENIZA: chusteczkę do oczu przycisnęła, płacze... przykłęka przy stole. ANGELIKA: przeżegnała się szybko i stanęła przy wezgłowiu.*)

DENIZA: (*Z płaczem:*) Opowiedz mi... opowiedz...

ANGELIKA: Powiem mu wszystko, powiem... (*Nachylając się, półgłosem, jakby szeptem:*) Generale Pułaski, przychodzimy ci powiedzieć ostatnie wiadomości... Ty słyszysz? Prawda, że słyszysz?... Tylko ścianka cię oddzieliła od naszego życia? Prawda?... Otóż dziś rano, kiedy Ty już zniknąłeś z pośród żyjących, przejeżdżał koło nas statek pocztowy i przysłał nam szalupę z naszą pocztą... Muszę wam opowiedzieć nowiny, Pułaski...

DENIZA: (*Podpowiada:*) Wszystkie pomysły.

ANGELIKA: Tak... Wszystkie pomysły. Cornwallis kapitulował... Słyszysz? Idą teraz na York, na Nowy-York. Admirał Rochambeau wyładował w New-Portie... Clintown odwołany z Georgii gdzie na Rochambeau! Słyszysz?

DENIZA: (*Podpowiada:*) Franklin...

ANGELIKA: A tak, tak... Zaraz... Liberali biorą górę nad Tamizą!... Wiesz?... A stary Ben Franklin jedzie do Paryża... na negocjacje pokojowe... na negocjacje pokojowe... słyszysz?... Więc wszystko idzie dobrze! bardzo dobrze... A my co dzień z Siostrą Denizą będziemy ci składać relacje, co nam tylko opowiedzą. (*Z płaczem:*) Bądź spokojny...

(*W tym momencie rozbrzmiewa sygnaturka okrętowa i wraz w otwarte pokłady pojawiają się: najprzód, dwaj marynarze JACK i BOB, potem KAPITAN OKRĘTU z krucyfiksem w ręce, potem ADMIRAL D'ESTAING, blady, ranny, z głową obandażowaną, w galowym mundurze, oparty na WILKENSONIE, potem BENYOWSKY w jaskrawym kontuszu i czapie z kłutą czapłą, z nim DWÓCH SZARACZKOWYCH KONFEDERATÓW wychudzonych i biednych. Ci niosą sztandar szkarłatny z Betlehem. Poczem bardzo zatroskany i posępny stary LINCOLN, za nim KILKU ŻOŁNIERZY i KILKU MARYNARZY. Nawet KU-*

CHARZ okrętowy MURZYN biało ubrany).

DENIZA: (*Szybko zerwała się z kłeczek i stanęła u końca stołu:*) Angeliko!

(*SIOSTRA ANGELIKA: podniosła głowę, wprostowała się. Staje teraz również z boku. — Przybywając, po kolei stając przy stole, żegnają się wszyscy, poczem ustawiają się pod parapetem w półkole, w głębi. KAPITAN OKRĘTU stawia Krucyfiks u wezgowia. Stary TOMMY staje obok wezgowia. JACK u nóg i każdy z nich bierze linę w ręce. Przy nich stanęli ku pomocy INNI MARYNARZE. — KONFEDERACI kładą na ciału Sztandar szkarłatny.*)

KAPITAN OKRĘTU: (*Gdy już wszyscy stanęli wokół, głosem uroczystym:*) Jego Królewskiej Mości Ludwika XVI commodore, hrabia Amadeusz d'Estaing może mówić!

D'ESTAING: (*Blady, oparłszy się ciężko na Wilkensonie, w stronę kapitana:*) Dziękuję... (*Rozglądając się po wszystkich i popatrzywszy żałośnie na leżące, wyciąga szybko z zanadru karteczkę i od czasu do czasu patrzy w nią i czyta:*) Panowie i towarzysze! Marynarze i żołnierze! (*Już z aplombem i głośnie:*) Moim skromnym głosem Królewską potęgą Francja żegna bohatera wiekopomnego ze łzami w oczach, rzucając na Jego powłokę cielesną nieśmiertelnego gałęz Lauru! (*Rozglądając się dokoła, poczem z patosem:*) W osobie zmarłego Generala traci wszechświat! traci człowieczeństwo zbolełe jednego z największych batalistów, jednego z tych błędnych Bayardów wolności, godnego stanąć obok Sulli i Milcyadessa. Alby! marszałka Soubise!

(*SYGNATURKA okrętowa przestała dzwonić. — Cisza w wszystkich wielka, głowy pospuszczane. Tylko MARYNARZE amerykańscy z pewnym zdziwieniem przypatrują się upozowanemu admiralowi.*)

ADMIRAL D'ESTAING: (*Rozpłomieniac się, czyta z kartki:*) Jeżeli sława Scypiona przetrwała wieki, to niema też, niema jednego serca, w którym nie żyłaby wiara, że sława jego bezgranicznego męstwa i sława jego bezprzykładnych sukcesów zapełni echem stugłosem, jak mówię w Cynnie nasz wielki Racine:

„wszak wszystkie lądy, wszystkie Oceany rozniosą glorię i fal morskich piany...”

(*Spojrzał po wszystkich z zadowoleniem i znowu czyta z kartki:*)

Choć nas opuścił ów bohater godny jak „Rolando Furioso” dramatu jakiegoś nowego Tassa, to uczynki

Jego, jak słupy ogniste będą nam przyświecały w pomrokach!... Imię Jego starcy dzieciom, dzieci wnukom powtórzą z niewysłowionem uwielbieniem, jak powtarzają do dziś z drżeniem imiona wielkiego Hani-bala! wielkiego de Broglie, znamienitego księcia de la Tour d'Auvergne i innych! Powtarzać będą po wieki. (*Z pamięci patrząc dokoła:*) Dlatego żegnaj nam teraz, żegnaj drogi Kazimierzu (*Zaciął się, zaczerwienił nieco:*) żegnaj Kazimierzu...

WILKENSON: (*Podpowiadając:*) Pułaski...

ADMIRAL D'ESTAING: (*Zadowolony:*) Tak, tak Pułaski... Pułaski! (*Czyta z kartki:*) ...żegnaj Argonauto Polski i bądź przekonany, że wielka Francja, aliantka i przyjaciółka Twojej Ojczyzny, zachwycającą piękną Sarmacją imię Twoje wyrwie w złocie na marmurowych tablicach mężów wielkodusznych, obok księcia Sobieskiego, tego, co to Wiedeń uratował przed nawalą Madjarów i Tatarów. (*Zadowolony, rozglądając się po wszystkich:*) Tak... Skończyłem... (*Do kapitana:*) Dziękuję...

KAPITAN: (*Kiwnął głową sztywnie, do Lincolna:*) Dowódca armii południowej, brygadyer Lincoln może mówić.

LINCOLN: (*Staje przy stole, rękę oparł ciężko na stole, prosto i szczerze, hamując wzruszenie:*) Dziś nad ranem przestało bić serce naszego pana Kazimierza... Kiedy wieść o tem przyjdzie do Kongresu Kontynentalnego, pochylią się w smutku czoła congressmenów... Kiedy stary Franklin dowie się o tem, łza mu się potoczy po twarzy. Bo on go tu do nas przysłał. Odetchnie zato gruby Cornwallis i zatną ręce z zadowolenia faryzeusze w Izbie Lordów!

WŚRÓD OBECNYCH POTAKIWANIE: Tak... Tak... Tak...

LINCOLN: Zmarły Pułaski odznaczył się pięknie pod Little-Eag-Harbor! pod Brandwym, pod Germantown! w Charlestown! Aha i jeszcze pod Paoli-Tavern, gdzie nam Excellencyę Washingtona uratował! Generallissima! Żadnej batalii zmarły nie wygrał, ale w każdej bit się jak przystoi.

WŚRÓD OBECNYCH POTAKIWANIE: Tak... Tak... Całkiem słusznie!...

LINCOLN: Brygadyer Pułaski miał ciemne włosy, ale jasne serce!... Po naszymu mówił bardzo podle, aż przykro było słuchać!... Tak... Ale obowiązki swoje spełniał ściśle i chlubnie. Był to godny mąż, na godnym miejscu! Pułaski nigdy nie pi-

jał whisky! (Do marynarzy:) Zapamiętajcie to sobie marynarze i żołnierze Stanów Skonfederowanych! Choć jego compatroci piją whisky i odurzają się także słowami!...

WŚRÓD OBECNYCH POTAKIWANIE: Tak... Tak...

LINCOLN: Pułaski niezem się nie odurzał... Żadna piękna lady, czy miss nie zdołała mu też zawrócić głowy... Dlatego jest bohaterem. I dlatego miał duszę mocną, rogatą, czystą jak Saxon!...

WŚRÓD OBECNYCH POTAKIWANIE: Tak... Tak...

LINCOLN: Drugą Ojczyznę tu znaleźli On i Kostyuski wtedy, kiedy na jego matczynej kraj rzuciły się hyeny i szakale... jak na antylopę!... On i Kostyuski musieli z kraju uciekać i tu przyjechali walczyć o wolność, o prawa człowieka, o naszą niepodległość!...

MARYNARZE I ŻOŁNIERZE: Hip! Hip! Hurra! (I podnieśli w górę czapki i kapelusze).

LINCOLN: (Donośniejszym głosem, zwracając się do stołu:) Wielki dług wdzięczności zaciągnęła Unia Stanów Amerykańskich wobec Twojego Narodu Pułaski, przyjacielu mój! (Mocno:) Spłaci go, bądź pewien, jeśli nie za rok, to lat sto, czy stopięćdziesiąt za choćby! Ale spłaci! Cześć Twojej pamięci commander Pułaski!... Farevell!!

WSZYSCY ZEBRANI: (Mocnym głosem:) Farevell!...

(KAPITAN: ujmując w rękę fla-

gę gwiazdzistą schyla ją i kładzie trzechkrotnie na ciele Pułaskiego).

WSZYSCY: (Powtarzają jeszcze:) Farevell!...

KAPITAN: (Mocnym głosem daje znak marynarzom:) Forvard!... (I podnosi do góry flagę amerykańską).

SIOSTRA ANGELIKA: usuwa na stół sztandar szkarłatny. — WSZYSCY żegnają się, głowy pochylili. — Równocześnie MARYNARZE chwytają za liny i podniosły ciał na moment do góry przesuwają je z wolna na parapet. Poczem wolno opuszczają je za burtę okrętową).

GŁOS: (Z lewej, z bocianiego gniazda:) Charlestown! Podbierać żagle!... (Świstawka).

BENYOWSKY I DWAJ KONFEDERACI: (Którzy stali obok niego, intonują, hamując z wysiłkiem tży, pieśń konfederacką:)

Nigdy z królami nie będziem w aliansach,
Nigdy przed mocą nie ugniemy szyi,
Bo u Chrystusa my na ordynansach
Słudzy Maryjil!...
Nie złamie nas głód, ni żaden frasunek,
Ani shołdują żadne świata hołdy,
Bo na wolności my poszli werbunek
Na Polski żołydy!

(MARYNARZE z wolna opuszczają ciało za okręt. — INNI rzucają się już do roboty przy rejach i sztagach. — SŁOŃCE rozpedza chmury na całym horyzoncie).

ZASŁONA.

KONIEC.

ło z polany, zarosłej wonnymi storczykami?

Strasznie wyglądało to miejsce. Okopy były popsute, ziemia i kłody drzewa kłębiły się w chaotyczną płataninę, a niebotyczne sosny leżały poszarpane w pół, podarte na wióry, podziurawione. Żywica kapąca z nich, jak żywa krew, aż pachniało w powietrzu, i ciepły, miękki wietrzyk kołysał tą falą woni, jak kadzielnicą ofiarną.

„I drzewa — szeptał sobie pan Laniewski... i ziemia... i woda... i ludzie i zwierzęta... wszystko...”

Owrócił oczy. Bezcelowem już było patrzeć mężnie w twarz kłęski, tak, jak ongiś zdarzało mu się przyjmować spokojnie i brać się za bary z wewnętrzną lub zewnętrznąmi kłopotami życia obywatelskiego.

Jak się raz zaczęło, to słusznie, że już wszystko. Niech będzie.

Spojrzał w prawo. Cmentarz szeptał ku niemu wezwanie ciche i kuszące. Cudne to było miejsce. Umarłym lżej tu chyba było leżeć, niż gdziekolwiek indziej. Wśród pół pachnących koniczyną lub szumiących zbożem śpiącym snem wiecznym gospodarzom rosła gromada brzoź, dziwnie pokreślonych w węzły i garby; były jak płaczki pokłękłe na grobach i ku nim schylone. Od starego boru o niebotycznych sosnach było kilka kroków, drogą zarosłą murawą i dziewanną.

Los wojny względnie oszczędził ów cmentarz...

Wały ziemne otaczające to miejsce porosły młodzieżą leśną bajecznej bujności. Kiście sośniaku cisnęły się gromadnie, przypierane w niższym miejscu kałina i czeremchą oraz zbójceją łożą. Wielkie kamienie tu i ówdzie wysuwały z pod mchów i ziół siwe czoła, porysowane w desenie porostów, otoczone wieńcem poziomek przedziwnie bujnych, przez nikogo nie ruszanych, chyba przez łakomych pastuszków-bezbożników; maliny i dzikie porzeczki tłoczyły się też na dzień rowu, tworząc istną spiżarnię ptasią. Gnieździło się też tego mnóstwo zazwyczaj i przybytek śmierci bywał pełen świergotu i wesołego hałasu. W każdym swobodnym od grzybów miejscu rosły powyżej pasa dziewanny i inne kiściaste zioła, wysokie, szafirowe i blade-purpurowe, jakich nie było w całej okolicy, co pocytywano za znak, iż wyrosły z ciał, grzebanych tu od wieków. Gdy się wchodziło niejako do wnętrza przez wpół rozwaloną, zczerniałą bramę, ogarniała dziwna atmosfera ciszy i odosobnienia.

Świergoty i szumy pozostawały na zewnątrz otoczenia gąszczów; tu

Helena Romer-Ochenkowska,

Nowela.

SPUŚCIZNA.

3

Już byli niedaleko.

Spuścili się z jednego pagórka i po wiorście krążenia brzegami rozmokłych łąk, kędy się puszczała młoda trawka, jaskrawa, bujna, znów wznosząc się zaczęli na wyżynę, z której już zaraz cmentarz, las, ogród i... dwór.

Podniósł pan Laniewski oczy, uśmiezione długą bezsennością, a może i łzami, które tak pałą stare źrenice. Lasu nie było widać!...

Tego ciemnego muru, mrużącego sejmu drzew stuletnich, szepczących o zmroku pacierze lub huczących w śnieżne zawieruchy, jak idąca do ataku husaryja, tego na tle błękitu tak znanego widoku trzech pierwszych z brzegu odosobnionych sosen-strażniczek... nie widać?...

— Ot pan, i lasu nie darowali... takie piękne drzewo... i żeby choć kłody równe rąbali, a to i siak, i tak... bardzo teraz trudno ludziom... bo przyznać się panu... wiadomo, naród prosty ze wszystkim zdziczawszy... dużo oni panu tego lasu nabrali chaoty stawiąc... ciągną i ciągną. My wszystko równo mówią, jak pogorzale, a pan zawsze pogorzalym...

Aha, więc i drzewom nie darowali... więc i las... Borek, w którego cieniu hodował się Janek, napędzając leszczynowe gąszcze krzykiem i piosenkami, kiedy koledzy zjeżdżali się do gościnnego dworu i wesoła gromada biegali po polach i gajach.

Któryż z nich mógłby jeszcze tu wrócić i szukać echa, co się odbywa-

była przestrzeń zarosła jeno krzyżami i owemi stortuowanemi, jak duże czyścowe, brzożami. Było się, jak pod szklanym kloszem, z za którego widać trochę świat, ale się z nim nic nie ma wspólnego. Brzozy tworzyły ze spletaných gałęzi przedziwne sklepienie ruchome, wonne i blade-zielone, a tak gęste, że miejscami panował tam wieczny cień żalobny.

W jesieni cmentarz był cały złoty od liści; fruwały w błękitnym powietrzu, jak żółte motyle, i pokrywały zwiędłą murawę kobiercem królewskiej chwały. Wtedy lepiej było widać przeblyskujące jeno przez letnie gąszcz jeziorko, co jak niebieskie oko, zaglądało zdala, oraz wspinała lipy ogrodowych alei łaniewskiego dworu, który się za polem zaczynał.

Pan Łaniewski wstrzymał woźnicę i polecił mu czekać na siebie w położonej o pół wiorsty wiosce, ruszył równym, żołnierskim krokiem. Obiecywał był sobie, że nie spojrzy w stronę dworu i ogrodu, i nim przeszedł dziedzińce kroków, stanął i podniósł głowę.

Nie, alei też nie było.

Widniały zaraz za rozległym polem, na lewo, zarośla parku, dalej za cmentarzem od jeziora zielenił się tysiącem odcieni głęboki parów, pachniała gdzieś czeremcha pierwszym kwieciem — wszystko, co było małe, ciche, przyjemne, zostało...

Tamtego wału olbrzymów, co w ramiona obejmowały dwór i ogród, nie widać było ponad drzewami parku.

Ruszył spiesznie dalej. Prosto zmierzał tam, kędy za ogrodzeniem leżały trzy groby. Im szedł składać powinność, zdawać sprawę... może skarżyć się, może prosić o łaskę śmierci. Ojciec, żona i przyjaciel; matka umarła za granicą i tam ją pochowali.

Tu całe życie, jego przeszłe życie i dawne przywiązania. Ojciec twardy, smutny człowiek, nękanym na stare lata wspomnieniami strasznych scen zapamiętanych na śledztwach i w aresztach, chociaż z nich wyszedł cało dzięki przyjacielowi, owemu Janowi właśnie, który tam też spoczywał i który zmusił druha, by podzielił się z nim męką, by ocalić ziemię. Łaniewski został, tamten poszedł w śnieg; Sybiru, zbity, okuty, wyjęty z pod praw człowieka, nieugięty i pogodny, jak nieublagana sprawiedliwość.

Ileż też chłopięcych wylało się z oczu kilkunastoletniego jego ucznia, młodego Łaniewskiego; szlochał za swym korepetytorem i zbierając z kolegami stare dubeltówki, przysię-

gał niegasnącą zemstę, aż ich rodzice zamykać musieli, bo się ten i ów wykradł do lasu. Pamiętali o męczenniku w Łaniewskim dworze; nie było wieczoru, żeby się nie modlono o siły dla niego i ulgę w cierpieniach. Pamiętano i we wsi, gdzie był częstym gościem, opowiadającym, że wolność gotują wszystkim stanom oni, idący na bój z przemocą, straceńcy. Wolność przyszła z innej strony i wcale nie taka prawdziwa, o jakiej była mowa, a na „panów“ przyszły takie czasy, że dziw, jak wytrzymali. Bardzo spokojnie musieli i przycichnąć... długo o tem rozprawiano po chatach, ale jasno tej sprawy nikt nie pojął, chyba ci, co z panami do lasu poszli, ale ci nie wrócili.

Wrócił natomiast po dziesięciu latach wygnaniec. Sybirak był, spalony, zeschnięty, broda po pas, zdziczały do ludzi tak, że za nic nie chciał być na weselu młodego Łaniewskiego, mimo, że na niego tylko czekano. Ze wzruszeniem i resztką galanterii ręce panny młodej ucałował i o cichy kąt we dworze na starość poprosił.

Jakież to dawne chwile — a tak wyraźne.

Oto zdaje się panu Łaniewskiemu, że widzi, jak z młodą, wesołą i serdeczną żoną swą podejżdza pod ganek dworu. Jak ona się cieszy, że kwiatów tyle i że dom taki ładny — pod kolumnami dwóch starców.

Niepodobni do siebie z twarzy, a jednak rysy ich mają tę samą hartowność, zaciętość jakąś i błyski, jak w stalowych zbrojach. Obaj trzymają tace staroświecką, na której chleb, sól i kluczyki gospoisi. Służba, po dwa pokolenia, stłoczona po bokach, oczy na młodą panią wypatrjuje. Witają ich. Ojciec wół obejmuje przyjaciela i mówi:

— Od niego ten dach nad głową, od niego ten kawał ziemi, jego męką wykupione to wszystko; ty tu gospodarzem, panie Janie.

A młodzi do nich się garną. Zapłakaly męzne oczy, zastygły w mrozach sybirskich stepów, oparł wygnaniec bez praw głowę zbielełą o ramię przyjaciela i zaszlochał krótko, z radości, że męka jego nie była jałową.

Ileż tam potem radości. W kraju smutno, ciężko, każdy pobyt w mieście, to zgrzyt, to ból od obcych i wstyd za swoich. Za każdą wieścią taką stary sybirak nie je, nie śpi, tylko idzie przed siebie z psem i fuzyą w pole i wraca nieprzytomny prawie. Bo jeżeli tak się dzieje, to po co on? Po co oni wszyscy?

Ale dwór, ocalona przez niego oaza, utula go w kojące ściany. Do-

bre, mądre książki tłómaczą sprawę, pamiętki cicho się przesuują wymownym obrazem, młodzież śpiewa kochane, te same piosenki; nie zapomnieli ich! Nic nie zginęło! ani my, ani oni. Trwajmy. Polska zamyka się w czarownym kręgu dworu i żyje.

Takie proste te dzieje, takie zwykłe, a ileż w nich bohaterstwa, ileż przy każdej sposobności trzeba użyć rozumu, namysłu i nawet odwagi. Lata płyną; to wolniej, to szybciej, niewiadomo, czemu?

Chrzczymy Janka! Szczęście u zenitu. Starzy „ojcowie“ klóca się, każdy drugiemu honor chrzestnego odstępając. Dziadek trzymał, ale imię było przyjaciela.

Potem umiera stary pan Łaniewski, potem młoda pani, żaloby, smutek, zwykłe życia koleje. We dwóch hodują Janka.

Macochy mu nie trzeba, ani rodzzeństwa, on jeden, jedyny! Serdeczny, jasny, jak słońce, ciągnie serca ludzkie; gdzie zajrzy, tam ludziom lżej, pogodniej jakiś.

Patrza na niego i cieszą się, ojciec i zgrzybiały pan Jan, gasnącymi oczyma patrzący, jak rośnie trzecie pokolenie. Tak samo śpiewają ci chłopcy, mówią trochę inne rzeczy, ale i to znaczy to samo. Myśli, uczucia, pragnienia przechodzą z głów do głów, z serc do serc, nieprzerwanym łańcuchem.

„Oni lepiej, mądrzej zrobią, zobaczysz!“ tłómaczył pan Jan kaszającym, zamierającym głosem. „Oho, to budownicy nietylko takich dworów, ale wielkich, wielkich gmachów, zobaczysz!“...

Czyżby starzec przewidział?

Och, Janku, a cóż ty teraz zbudujesz, ty bez trumny leżący gdzieś w ziemi polskiej trupie! Twoje jasne oczy, twoje mocne ręce, twe kochające serce czemuże usłużą ojczyźnie? Że w jej polu krzak dzikiej róży czy zboża bujniej wyrosnie z twego młodego ciała?!

Pan Łaniewski skurczył się i przytulił do grobowych kamieni. Zimno go przejęło i wstrząsnął dreszcz z głębi ziemi idący. Kolywał sobą, jakby pragnąc uśmierzyć ból jakiś nieobjęty, od którego ni uciec, ni go zwalczyć.

Znów sobie powtarzać począł, niby opowieść umartym, ostatnie wieści o synu.

Dokończenie nastąpi.



Strofy jesienne.

Szaro...
Chrzęści w Alejach pierwszy spadły liść...

Dni coraz krótsze...
Z ławeczki ogrodowej sruwa ciężko pytanie:

— U paniusi jak z naftą?
Paniusia odmie się z godnością:
— Moja pani, mam własny gaz w domu!

Pochyli się na te słowa sąsiad z przeciwnika z podziwem:

— Pozazdrościć! Ja mam gaz także, ale tylko wtedy, gdy się lampka zepsuje lub zgaśnie nie w porę — — —

— Karbid! — zachichoce szyderczo sucha, trzeszcząca damulka, na ławeczce opodal.

— Paniusia nie używa? — odburknie zgrzytliwie jegomość skrzywiony.

— Fi! Kontentuję się jedną świeczką na trzy dni i to mi zupełnie wystarcza!

Twarz suchej damulki wyraża nieograniczoną dumę osamotnienia. Odplywa, chrzeszcząc...

Za nią zapada wieczór jesienny.
: : : : :
: : : : :

Zbity, różnobarwny tłum zwarł się przegodnie u zbiegu dwóch ulic...

Rozprawa ożywiona, namiętna, kłótniwa. Trąbka Pogotowia już skamle w oddali...

Co się stało?
Nic takiego... Szedł mężczyzna w sile wieku, potknął się o śliwkę zdeptaną, upadł. Może rozbił głowę. Może się zabił...

— Na wojnę nie chodził, a kto wte, zginie jucha! Psiakrew, życie!... — klnie melancholijnie przygodny pesymista i idzie przed siebie, pluszcząc dziurawymi butami...

— Wojna, wojna... — westchnie machinalnie ktoś za nim nieproszony...

I tłum się rozchodzi. Zostaje szarość jesienna, obok śliwka zdeptana.

Październik.
: : : : :
: : : : :

Ranek jesienny.
Wesołe słońce zagląda przez okno do bogatych pokojów...

— Mamuńciu, mamuńciu, moja złoci-sta! Przypuścił mi trochę sukienki, trochę, troszeczkę! Ja już mam 15 skończonych! Moja — — —

Przecudny uśmiech młodej jeszcze mamuńci (jeżeli ma 40, to nikt o tem prócz niej — nie wie) sprzeciwia się temu przez chwilę. Aż wreszcie zniewolony, ujęty i pobity — zezwała.

— Dobrze, dziecino, dobrze.
Złote dziewczątko rzuca się piękną mamuńci na szyję, obrzucając ją pocałunkami. Przywołują pannę służącą, operacja się dokonywa.

Młodość dziewczęca przypuszczona o — cał jeden!

Rozpromienione dziewczę z dumą wybiega na ulicę.

Uroczą mamuńcia roni rzewne westchnienie, idzie do lustra, potem do szafy, wyjmując stamtąd swoją sukienkę i — skraca ją o półtora cala.

Przez okno zagląda z uśmiechem do brotliwie słońce jesienne.

: : : : :
: : : : :

Plucha październikowa weгнаła do kawiarni całą stolicę. Przewala się, wre, huczy, kołtuję — — —

Strzelają ku górze nazwy, imiona, prorocstwa, groźby...

W kąci artystycznym najgłośniej.
— Dziesięć tysięcy!
— Dwadzieścia...
— Sto tysięcy się znajdzie, gdy potrzeba!

— I pójdzie!
— Pójść musi!
— Wojna trwać będzie *spokojnie* przez całą zimę!..
— Będzie!..

Evoe! Budują nowy teatr...
W wieczór jesienny wre w stołecznej kawiarni, huczy, przewala się, kołtuję...

B. Gorceyński.

Wiktorya Cross.

Przekład z angielskiego przez H. J. P.

Najwyższe prawo.

7

POWIEŚĆ.

Po niejakim czasie Hamakhan ocknął się, przeciągnął i spojrzawszy na Dorę, zaśmiał się.

— Może ci się chce jeść albo pić? — rzekła troskliwie, wpatrzona w jego szczupłą, dziwnie słodką w tej chwili twarz. — Wstanę i przyniosę ci cokolwiek.

— Nie potrzebuję ani jeść, ani pić; potrzebuję tylko ciebie — odpowiedział, oplatając ją ramionami. — Pozostań.

Dla człowieka Zachodu miłość jest potrzebą ostatnią; musi wpiery nasycić głód, zaspokoić pragnienie, wypocząć, zapomnieć o kłopotach, a wtedy dopiero budzi się w nim żądza; w Dschodzie rzecz się ma inaczej. Hamakhan był głodny, spragniony, zmęczony, ale zapomniał o tem wszystkim w objęciach Dory; jej uścisk nie był zbytkiem, na który można sobie wreszcie pozwolić, lecz pierwszą żywiołową pociechą.

I Dora pozostała, bawiąc się jedwabistemi kędziorami leżącej na jej piersi głowy.

— Dostałem dziś dziewięć rupii za robotę — zauważył po chwili Hamakhan — podzieliłszy się tym zarobkiem z Haiderem.

— Tyle pieniędzy! — Zawołała żartobliwie Dora. — Sprawię ci za to nowy *pugri* (turban).

Wzmianka o turbanie potrafiła o strunę próżności Hamakhana; podniósł się i spojrzął na czyściutką, świeżą odzież Dory i na własne, zakurzone ubranie.

— *Abbi ja* (dosyć już) — rzekł nagle. — Wyjdź teraz.

Dora zaśmiała się i wyszła zasuwając ekran za sobą. W dwadzieścia

minut potem ukazał się znowu, i z leniwą, wschodnią niedbałością ruchów podszedł ku Dorze, która siedząc na ziemi, pilnowała gotującego się ryżu. Młoda kobieta podniosła oczy z uśmiechem i ujrzała go stojącego nad sobą.

Palące słońce Wschodu zachodziło właśnie; jego ukośne promienie wpadały do chaty, napełniając ją szkarlatnym odbłaskiem, i Hamakhan stał w tem oświetleniu świeżo umyty i przebrany i połyskujący oliwą, którą namaścił sobie włosy i skórę. Patrzył na Dorę z uśmiechem naiwnej próżności, domagającej się pochwał i zachwytów. Wysoka jego postać wydawała się pod tym niskim dachem jeszcze wyższą, a na tle białych, nagich ścian chaty jego klasyczna, gładka twarz robiła wrażenie żywej rzeźby.

Wtem z właściwą mu nagłością ruchów usiadł obok Dory na ziemi i zaśmiał się w głos. Nie miał żadnego specjalnego powodu do tego wybuchu uciechy, był to poprostu śmiech młodości; zdrowia i radości życia.

— Czy tam dosyć tego? — zapytał, zaglądając do ryżu. — Haider i jego *bhais* (przyjaciele) przyjdą posilić się z nami. *Dekho* (patrz) — dodał, gdy wniósł się czterema wysokimi postacjami — a teraz stań blisko przy mnie.

Dora podniosła się, a Hamakhan wyciągnął rękę do przybywających. Ci rzekli poważnie „Salaam“ i patrzeli na młodą kobietę. Byli to towarzysze pracy Hamakhana; cały dzień kładli nowe maty w jednej z wielkich podmiejskich willi. Teraz zostawili

obuwie przed chatą i wszedłszy do chaty, z wdziękiem i swobodą zasiedli na ziemi dokoła mosiężnego naczynia z ryżem. Dora, siedząca tuż przy Hamakhanie, miała swoją własną miseczkę, z której jadła. Hamakhan, który często sałował jej białe, o różowych koniuszeczках paluszki, nie byłby miał nic przeciwko temu, żeby je pospołu z innem zanurzała w naczyniu z ryżem, szanował jednak uprzedzenia przyjaciół.

Ci, okrażając naczynie, kolejno sięgali doń ręką, nabierając w garść ryżu. Cywilizowanym oczom byłoby się to mogło wydawać wstrętnem i barbarzyńskim i byłoby takim, gdyby to czyniły mniej hojnie od natury wyposażone jednostki. Ale pathańczycy mają w sobie wrodzony wdzięk i powagę i coś bezwiednie artystycznego w ruchach i gestach, co stylizuje i uszlachetnia każdą ich najpospolitszą czynność. A zresztą, w czasach, kiedy sławny Sympozyon napisany był w stolicy świata, najwytworniejsi attycy, poeci i arbitrzy elegancji jedli mniej-więcej w ten sam sposób, posługując się palcami, jak ci azjatyccy wyplatacze mat.

Dora patrząc na otaczające ją twarze pomyślała, jak całe to zgromadzenie mogło być posłużyć za model do jakiego greckiego szkicu, gdyby tylko zmienić zabarwienie skóry tych ludzi. Bo zdumiewająca to rzecz naprawdę, do jakiego stopnia starogrecki typ odrodził się w Pathańczykach z Peshawuru. Z małemi wyjątkami twarze ich są nieskazitelnie klasyczne i typ ów, tak rzadki, tak prawie nie zdarzający się gdzieindziej, w północno-zachodnim Indostanie jest dosyć pospolitym.

Dora myślała o tem wszystkim, zastanawiając się, o ile grecy przy czynili się do utratienia w tej rasie swej osobliwej piękności, i nie zważała na rozmowę mężczyzn, aż uderzył ją powtarzający się w niej kilkakrotnie wyraz: „dziecko“. Spojrzała na Hamakhana; zdawał się być niezadowolony i zaprzestał jeść.

— Kiedy wam mówię, że tak — rzekł, i twarz mu sępniała, a w oczach zamigotał chmurny ogień i skrzyżował się z zazdrosnem spojrzeniem przyjaciół poprzez kłęby pary, unoszącej się z dymiącego ryżu.

— Wstań — rzekł bez ceremonii, zwracając się nagle do Dory. — Wstań i pokaż im się.

Gorąca fala krwi buchnęła do twarzy młodej kobiety; łyzy wstydu i upokorzenia napelnily jej oczy. Bezwiednie członki odmówily jej posłuszeństwa i siedziała bez poruszenia. Zauważono to natychmiast i

wyłomaczono błędnie. Po chwili milczącego oczekiwania dały się słyszeć szyderskie śmiechy. Twarz Hamakhana powlokła się jeszcze większą surowością.

— Wstań! — powtórzył rozkazująco i niebezpieczny ogień błysnął mu w oczach.

Dora zbyt go kochała, by lekceważyć sobie jego wolę w obecności jego przyjaciół. Gdyby byli sami, może potrafiłaby nie usłuchać, ale nie teraz. Wahanie jej pochodziło wyłącznie z pomieszania i wstydlivosti angielskiego dziewczęcia. Teraz i ono minęło.

Aczkolwiek zapłoniona od szyi do włosów, powstała. Chuddah (oponczka) zsunęła się jej z głowy i opadała osłaniając piersi i kibić, aż po kolana. Siedzący najbliżej niej Pathańczyk, imieniem Haider, ruchem bardziej nieopatrzny, niż zuchwałym, wyciągnął rękę, by zerwać z niej chuddah. Ale tego było nadto dla europejskiej krwi. Dora zacisnęła drobną pięść i uderzyła lekkomyślną dłoń krajowca już chwytającą za fałdy oponczy. Powstał ogólny śmiech; jeden tylko Hamakhan nie rozchmurzył się.

— Masz, na coś zasłużył. Haiderze — zauważył; poczem wyciągnął ramię i jednym zamachem zerwał oponczkę. Dora nie poruszyła się. Wśród obecnych przebiegł szmer uznania; poczęści wywołany jej uległością, poczęści na widok tej ślicznej, smukłej postaci, stojącej prosto w luźnych szarawarach i haftowanej żuawce, z pod której muślinowa koszulka opadała poniżej pasa. Białe ramiona i gors błyszczały po przez delikatną tkaninę. Indyjskie oczy nie widziały jeszcze takiej karnacji i widok ten zatamował poprostu oddech w tych wszystkich brązowych, młodzieńczych piersiach. Postać Dory posiadała jeszcze całą swą doskonałą smukłość; tylko lekkie wzdęcie poniżej pasa uwydatniało tem lepiej bogactwo rozwinętych kształtów; ale tym wypraktykowanym oczom nie potrzeba było więcej. Powstał ogólny, pochlebny szmer, gdy tak stała z ręką na biodrze, blada teraz, jak płótno, z oczyma utkwionemi w Hamakhanie. Goście zaczęli klaskać w dłonie; okrzyk „sachbat“ (prawda) zadowolnili Hamakhana, który uśmiechnął się niedbale.

— *Beith* (usiądź) — rzekł krótko, wskazując jej miejsce obok siebie, z którego powstała.

Dora usiadła, otulając się oponczką. Po błdziutkich jej ustach igrał lekki, sarkastyczny uśmiezek.

— *Autre pays, autres moeurs* — pomyślała po francusku, starając się

odzyskać równowagę. — Taką już u nich zwyczaj; gdybyś miała teraz przy sobie czerwony kark i ostrzyżoną na jeża głowę Thompsona, nie byłabyś na to narażoną.

Spojrzała na Hamakhana i fala tkliwej, miłosnej uległości napelnila jej serce. Wiedziała, że na Wschodzie macierzyństwo uważane jest za koronę kobiecej piękności, i że kobieta popisuje się niem z dumą. Angielka wstydzi się zmiany w psującej harmonijność jej kibici i za wszelką cenę stara się ją ukryć. Ale Dora wiedziała, że Hamakhan nigdy tego nie zrozumie i że będzie oczekiwał od niej tych samych uczuć, jakie w podobnem położeniu napelniają duszę kobiety Wschodu.

Naczynie z ryżem wypróżniło się przez ten czas i Dora wstała, aby je znowu napelnic. Wracając, popatrzyła zamyślonemj oczyma na obraz, jaki miała przed sobą. Po za chatą na jasnem, przejrzystem niebie migotały gwiazdy ledwo widzialne w pomarańczowo-różowej łunie wschodniego zasuwania się słońca za wiodnokrag; u jej stóp siedzieli kręgiem krajowcy, w czerwonych turbanach i luźnych rękawach, opadających z ramion, wyraziście modelujących się na opalizującym tle nieba.

Hamakhan spojrzal na Dorę i wskazał na jaskrawe, nowe banjo (instrument muzyczny) wiszące na ścianie. Lubił bardzo słyszeć ją grającą, jak to bywało, gdy jeszcze służył w bungli generała, i pierwszą rzeczą, jaką kupił jej za własne zarobione pieniądze, było właśnie to banjo, by jej zastąpiło to, które musiała zostawić w domu.

— Pójdź tu, zagraj nam i zaśpiewaj — rzekł z uśmiechem, a Dora zdjąwszy banjo z kołka usiadła znów przy nim.

— Co mam zaśpiewać? — spytała. — „Tarza bar tarza“*).

— Nie — odparł Hamakhan stanowczo. — Coś nowego.

Nastroiła banjo; oparła je na kolanie i pochyliła się nieco naprzód z oczyma utkwionemj w Hamakhana. Wszyscy uciszyli się, a Dora zaczęła śpiewać po grecku odę Anakreona do Bathylusa, zaczynającą się od słów:

„Opisz mi Bathylusa mego kochanka, tak jak ja ci to podyktuję“.

Odą owa jest namiętną apoteozą męskiej piękności, podobnej do tej, na którą Dora patrzyła teraz; to też śpiewała ją przelewając całą swą du-

*) *Świeżo, zawsze świeżo*; bardzo popularna hinduska piosenka. (Przyp. tłóm.).

szę w usta i w oczy. Przepelniająca ją bezbrzeżna miłość drżała w jej głosie. A całe otoczenie działało na jej wrażliwą wyobraźnię. To przejryste, gwiazdami mrugające niebo; ten palący oddech sennych równin, ten barwny, malowniczy krąg męskich postaci, a zwłaszcza ta jedna przepiękna i nad wszystko ukochana. I było widocznem, że śpiewa tylko dla niego. I krajowcy z lotnością swych pierwotnych natur wyczuli ten nastrój.

Wpatrzeni w jej falujące lono i zaróżowione policzki, w rozblęskłe szczęściem i upojeniem błękitne oczy; w białe paluszki trącające lekko o struny banjo, otaczali ją coraz ciśniejszym kołem, a ogień żądzy poczynął krążyć w ich żyłach.

Mieszkańcy sąsiednich chat, zważeni muzyką i namiętnym, niezrozumiałym śpiewem, skupili się wielkim półkolem na zewnątrz. Kobiety zsunęły swoje chuddah z głów i pochylone naprzód, ciekawemi oczyma wpatrywały się w rozkochaną twarzyczkę Dory, wybacząc jej poniekąd zachwyty, jak ją budziła, a o jaki mogły być zazdrosne.

— Tak; kocha go, to widać — szeptały pomiędzy sobą, wstrząsając znacząco głowami.

Mężczyźni spoglądali na nią w milczeniu, a ruchliwe ich cienkie nozdrza łopotały im, jak chrapy rasowego konia. Działała na nich przeważnie dlatego, że była czemś nowem, nieznanem, a i dlatego także, iż białoskóry stanowi w ich oczach powab nad powaby. I po wszystkich tych mózgach krążyła jedna i ta sama myśl: jakby to było ładnie wpakować Hamie nóż w pierś tuż pod piąte żebro.

Skończywszy śpiewać, Dora po raz pierwszy rozejrzała się wokoło i aż drgnęła, ujrawszy te ciemne, rozplamienione twarze, cisnące się tak blisko dokoła niej. Błagalnie spojrzała na Hamakhana, a on zrozumiał to spojrzenie i uczynił rozkazujący ruch ręką.

— Odstąpcie — rzekł krótko, a oni cofnęli się natychmiast. Lecz zaraz poczęli prosić:

— Jeszcze coś — mówili. — Zaśpiewaj nam coś jeszcze.

Dora zaważała się chwilę, poczem zanuciła patryotyczną, krajową pieśń, której żaden Pathańczyk bez wzruszenia słuchać nie może. Jest ona dla niego tem, czem Marsylianka dla francuskiego radykała. I teraz też oczy słuchaczy rozgorzały, piersi wzdęły się i po chwili zaczęli śpiewać razem z Dorą, kołysząc się do taktu w tył i naprzód i uderzając dłońmi o kolana.

Dora grała coraz prędzej i śpiewała z zacięciem rodowitej indyanki, lecz spostrzegłszy nagle, że Hamakhan unilkł i wpatruje się w nią z jakimś szczególniejszym wyrazem, którego zrozumieć nie mogła, oddała banjo Haiderowi i przysunęła się bliżej do Hamakhana, ująwszy w milczeniu jego rękę i opasawszy nią sobie szyję.

Pathańczycy śpiewali z rodzajem jakiegoś zapamiętania, kołysząc rytmicznie swe gibkie torsy, a Dora, oparłszy głowę o ramię Hamakhana, siedziała cichutko z wyciągniętymi nogami, które jej ścięrpły od siedzenia po muzułmańsku.

Twarz Hamakhana wypogodziła się. Tkliwie przytulił Dorę do siebie.

Haider grał lepiej, niż ona, a pathańczycy śpiewali i śpiewali, aż pomęczeni zamilkli.

— Przyrządę im sorbetu — rzekła Dora, patrząc na Hamakhana — mam go trochę w chacie.

On skinął głową i puścił ją. Gorąco było straszliwie; śpiewakom zupełnie pozaychało w gardłach.

Dora wstała i przyrządziła wielką czarę sorbetu, która krążyła z rąk do rąk, aż ją wypróżnioną oddano Hamakhanowi, a on ją znów Dorze wręczył.

Goście pomęczeni śpiewaniem, ale jeszcze żadni zabawy jęli się dopominać o „raks“ (taniec):

— Hamakhanie, niech ona nam pokaże, jak „ghore-log (europejczy) tańcza.

Dora spojrzała na Hamakhana i widząc, że jakaś walka toczy się w jego umyśle, czekała. Była rozbawiona, uszczęśliwiona i wesoła, i byłaby zatańczyła dla nich, ale nie chciała zacząć bez pozwolenia męża.

On zaś patrzył na jej wdzięczną postać i wahał się; próżność nagliła go do popisania się tą piękną kobietą, która była jego własnością, ale zazdrość sprzeciwiała się temu. Po co inni mają paść oczy widokiem tych powabów? Wreszcie próżność zwyciężyła i Hamakhan dał znak zezwalający.

Dalszy ciąg nastąpi.



Z literatury.

Wykłady nauk bibliograficznych i bibliotekarstwa na Kursach Naukowych.

Nauki bibliograficzne stały zawsze w Polsce bardzo wysoko, reprezentowane przez polihistorów i uczonych tej miary, co Starowski, Janocki, Jocher, Bentkowski, Lelewel, Maciejowski, aż do Estreicherera i Finkla. Również i bibliotekarstwo polskie ma piękną kartę w dziejach takich zakładów, jak przastara Biblioteka Jagiellońska, obrzynania na swoje czasy Biblioteka Załuskich, która stała się wbrew woli zawiazkiem Cesarskiej Biblioteki w Petersburgu, jak zbiory Ossolińskich, Krasińskich, Zamoyskich i inne. Pielęgnowanie tych gałęzi nauki i umiejętności praktycznych ma niesłychaną doniosłość dla sprawy zachowania kultury narodu i utrzymania ciągłości pomiędzy poszczególnymi jej okresami — i ono to przyczyniło się w wielkiej części do uratowania skarbów naszej nauki wśród zmiennej i ciężkiej kolei losu.

Towarzystwo Kursów Naukowych, pragnąc i w tym kierunku rozszerzyć zakres nauczania, a jednocześnie chcąc przyczynić się do przygotowania zastępcy wykształconych fachowo bibliotekarzy, dla których wobec zmiany warunków otwiera się szerokie pole do pracy, utworzyło dwie nowe katedry: księgoznawstwa ogólnego oraz bibliotekarstwa wraz z bibliografią, powierzając pierwszą p. Mieczysławowi Rulikowskiemu, drugą — p. Janowi Muszkowskiemu.

Kurs księgoznawstwa mieć będzie charakter ogólnokształcący i obejmie przedewszystkiem następujące przedmioty: historia pisma, grafika główniejszych języków europejskich, historia i technologia papieru, drukarstwo (rozwoj techniki sztuk graficznych, t. j. drukarstwa właściwego i wszystkich sposobów reprodukcyjnych, teoria drukarstwa, historia zakładów drukarskich), introligatorstwo, bibliografia, bibliotekoznawstwo, nauka o archiwach, wolność druku, księgarstwo, bibliofilstwo, posilkowanie się zbiorami. Tutaj wartość praktyczna wykładu będzie polegała na tem, aby słuchaczom, zależnie od kierunku ich studiów głównych, wskazać drogę do jaknajlepszego wyzyskania wiadomości z zakresu bibliografii, ikonografii i kartografii.

Z wykładami będą połączone pokazy praktyczne i ćwiczenia seminaryjne, których kierownictwa podjęła się p. Helena Drège, asystentka biblioteki ord. Krasińskich.

Moja pierwsza książka francuska.

Znana nauczycielka języka francuskiego, p. V. de Tilly, napisała interesujący podręcznik p. t. „Mon premier livre français“. Metodą pogładową przyswaja uczniom pojęcia-słówka, które znajdują się w podręczniku plastycznie przedstawione w rysunku, obrazku. Rysunki te wykonał p. Jan Ogórkiewicz. Dla dzieci książka ta jest bardzo pożytecznym nabytkiem.

